

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Zesłańcze relacje drukował też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Ks. Józef Kuczyński – *Z postugą duszspasterską w Kazachstanie***

Wyjeżdżając z Workuty, byłem już zdecydowany, że pojedę do Kazachstanu. Przedtem jeszcze odwiedziłem strony rodzinne. Pojechałem najpierw z dziękczynieniem do dobrodzieja Chomickiego, który padł przede mną na kolana, a ja przed nim. A gdy usłyszał, że jadę do Kazachstanu – znowu na kolana. Wyposażyli mnie tam w szaty liturgiczne, organista zrobił mi 10 różnych zdjęć i potem przysłał setki odbitek. Bronio radził: zostawić 50, resztę spalić. Miałem z tym ogromne kłopoty.

Potem dotarłem do matki, u której po latach rozstania przebywałem 12 dni. Następnie wyjechałem do Kazachstanu. Na miejsce przybyłem w czerwcu. Zameldowałem się i jakoś mnie nie pytano, gdzie pracuję, czy gdzie będę pracować. Nie odprawiając nawet nabożeństwa w niedzielę pojechałem od razu do Karagandy i Akmolińska odwiedzić przyjaciół i towarzyszy z więzień i obozów. W Karagandzie byłem 27 czerwca 1956 r. na imieninach ks. Władysława – spotkanie po 10 latach! – i na poświęceniu kaplicy, którą tam kupili. Był to odpowiednio przerobiony dom.

W końcu dotarłem do Taińczy, gdzie przez dwa i pół roku miałem być proboszczem, czy raczej misjonarzem. Okolice Taińczy to rejon trosmaryński, czkałowski i kelerowski, gdzie w 26 osiedlach mieszkali Polacy. W każdym

osiedlu mogło być około 300 domów tak, że było około dwudziestu kilku tysięcy ludzi, którzy przetrwali w wierze, pomimo że przez 20 lat nie widzieli kapłana. Byli oni osiedleni w zwartej masie i mieli oparcie jedni w drugich, co ułatwiło im przetrwanie, a ponadto pochodzili z dobrych parafii. Były nawet dwie parafie mazowieckie, których ludność zachowała język polski. Reszta zaś mówiła po ukraińsku, był to jakby ich język ojczysty. Niektórzy zdołali wyrwać się spod komendantury do osiedli roboczych i żyli już w rozproszeniu między ludźmi różnych narodowości.

Gdy przystąpiłem w Taińczy do pracy, ludzie zaczęli gnać się do kościoła ze wszystkich stron. Przyjeżdżali z odległości 40, 60 i 80 kilometrów na pudłach samochodów ciężarowych, nawet wśród upałów i zamieci piaskowej, a w zimie w mróz i śnieg – ciepło odziani.

Pracowałem tam w warunkach nadzwyczaj ciężkich: wyjazdy były trudne, trzeba było nieraz jechać 50 km do chorego, latem panowały upały do +40°C, a zimą mrozy do -40°C, a nade wszystko byłem w ciągłym strachu, że coś się może stać. Od ks. Drzepeckiego z Akmolińska miałem pocieszające wiadomości, że prawie swobodnie mógł pracować; te wiadomości okazały się jednak złudne, i na skutek zbyt optymistycznego nastawienia naraziłem się na różne przykrości i niepowodzenia. Myślałem, że rzeczywiście można pracować swobodnie. Pojechałem na pierwszy posesiadłość odległy 22 km od Taińczy, gdzie zesłani byli moi dalecy krewni. Komendantem był tam Kazach, który nie sprzeciwiał się temu, abym zaczął spowiadać, chrzczyć i wykonywać jakiegokolwiek posługi w chacie, w której mnie przyjęto.

Ludzie byli tam całkowicie przygotowani do spowiedzi i Komunii św., tak dzieci, jak i osoby dorosłe, wstępujące w związki małżeńskie. Były tam bardzo pobożne i uświadomione niewiasty, które mogły nauczać. Później dwie z nich pracowały u mnie w Taińczy jako katechetki. Niewiasty te pochodziły z parafii Sławuta, gdzie pracował ks. Ruszyński.

Po pewnym czasie władze miejscowe, czyli rada wiejska – należał do niej Polak, niejaki Cerklewicz – zabroniły mi dalej pracować. Jako zesłaniec miałem pozwolenie na wyjazd na czas określony i tylko do ustalonej miejscowości. Musiałem więc wrócić do Taińczy. Najgorzej bywało, gdy jakiś Polak był we władzy miejscowej. W Taińczy zbierało się dużo ludzi w domu Szymona Czarnego, który nie bał się przyjmować u siebie księży i umożliwiał odprawianie Mszy św. w swoim mieszkaniu. Myślałem, że jest on bardzo odważny, ale pewnego razu, gdy przyszedł prezes rady osiedlowej, to widziałem, że cały drżał. Postępował jednak bardzo dzielnie.

Ten dom Czarnego zaczęliśmy przerabiać na kaplicę. Zburzono ścianę a gospodarze urządzili się w przedsionku, gdzie na taboretach jedli obiad. Żartowali z nich, że są Kirgizami. Właściwie nie był to przedsionek; w Kazachstanie buduje się w ten sposób, że jeśli trzeba zrobić jakąś przybudówkę, to doczepia się ją z boku. Przybudówka taka nazywa się priczepa i służy jako zabezpieczenie od wiatrów i zamieci. W priczepie zostawia się przestrzeń bez ścian i składa się tam siano, słomę, by nie wychodzić na zewnątrz, bo w czasie wielkich wiatrów nie sposób czegokolwiek donieść do domu. W przybudówkach bywają też studnie i wejścia dla bydła.

Priczepa ta bardzo nam się przydała. Ułożyliśmy w niej podłogę, ułożony z drążków dach podbiłem fornirem i pomalowałem, tak że wyszło dość przy-

zwoite pomieszczenie. Pod ścianą stały wieszaki i ławki, na których przyjezdni mogli wieszać swoje kożuchy oraz ustawiać koszyki prowiantem, a do kaplicy wchodzili już jako do pokoju. W kaplicy zbudowałem piec i zrobiłem wyciąg do wentylacji, taki, jakie widziałem w barakach w Workujcie. Chociaż kaplica była niewielka – zaledwie 12 metrów na 4 – mieściła jednak sporo ludzi. Zdarzało się, że w zimie, w czasie burzy śnieżnej ludzie, którzy przyjechali na nabożeństwo, nocowali w kaplicy i w przyczepie.

Nabożeństwo odprawiało się codziennie w intencji ludzi, którzy polegli w czasie wojny. Umarli oni bez spowiedzi, pochowani zostali bez kapłana; wszyscy więc garnęli się na te nabożeństwa i codziennie śpiewano modlitwy za zmarłych. Mieliśmy zaimprovizowany katafalk, świece a nawet obraz Matki Boskiej Pocieszenia, który przywieźli ze sobą ludzie z Jampola. Ludzie wywożeni na Sybir starali się zabrać ze sobą nie tylko jak najwięcej rzeczy osobistych, ale i ten obraz wzięli, pakując osobno jego szatę i koronę oraz składając płótno w taki sposób, by nie połamać oblicza. Przywieźli ponadto mszał, krucyfiks, dzwonek i żelazko do pieczenia opłatków. Mając takie wyposażenie można się było tutaj bardzo ładnie urządzać. Ponadto dostałem ze Lwowa obraz Serca Jezusowego z kościoła OO. Jezuitów oraz obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Zamontowaliśmy też w kaplicy urządzenie, które odślaniało i zasłaniało obraz Matki Boskiej.

Jednak i tutaj nie omijały nas trudności. Polecono nam zwołać tzw. „dwudziestkę”, czyli komitet kościelny, wybrać zarząd i podać władzy obłasti celem zarejestrowania. Uczyniliśmy zgodnie z żądaniem. Przez jakiś czas wzywano nas, by nam oznajmiać, że nic nie zostało załatwione i że pracujemy nielegalnie. Kiedy pojechalismy do władz, aby to wyjaśnić, powiedziano nam, że nie ma naszego podania. Zmienił się jakiś tam sekretarz i pism naszych nie odnaleziono.

Napisalismy nowe podanie. Początkowo mówiono, że złożone pisma wystarczą, później jednak, że muszą sprawdzić, czy dom jest zdalny do użytku i że potrzebne jest zaświadczenie stacji epidemiologicznej oraz zaświadczenie o stanie bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Po wielu trudnościach uzyskaliśmy potrzebne dokumenty. Jak się dowiedzieliśmy później, pracownicy stacji epidemiologicznej mieli z powodu wydania zaświadczenia ogromne nieprzyjemności, o mało ich nie usunięto z pracy. Natomiast komisja techniczna uznała, że dom grozi zawaleniem i nie nadaje się do użytku. Zgłosiliśmy zastrzeżenie, że od półtora roku jest już użytkowany, dlaczego więc nie spostrzegli tego wcześniej? W końcu pojechałem razem z delegacją parafian, aby wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Kiedy wreszcie przyjęto nas w urzędzie i okazało się, że nie jestem osamotniony, że stoi za mną naród, przez jakiś czas mieliśmy spokój. Potem znowu zaczęły się jakieś nieporozumienia, wzywania do urzędów, straszenie, w końcu przysłano nam nawet prokuratora. Przyjechał w sobotę i rozpytywał o jakieś obrazki, to znów o jakąś młodzież i nakazał mi stawić się w poniedziałek w kancelarii koło Nowosuchotina. Te dwie doby wyczekiwania były bardzo denerwujące. Kiedy przyjechałem, siedział w poczekalni i pisał na maszynie, nic do mnie nie mówiąc. Wreszcie kazał mi usiąść. Czekałem może z półgodziny. Z końca korytarza widać było cele więzienne zamknięte na sztaby i na klucz. Wreszcie poprosił do gabinetu i zapytał: „Co to jest takiego, że sprzedajecie swoje portrety”? Tłumaczę, że byłem u kolegi

na Ukrainie, że mi tam robiono zdjęcia, które rozdaję, jeśli mnie ktoś poprosi, ale że żadnych pieniędzy za to nie brałem. Wobec tego polecił, abym napisał wyjaśnienie. Najpierw zresztą sam pisał, ale potem powiedział, że jestem człowiekiem piśmiennym i poprosił, żebym sam napisał. Napisałem więc, że za moje zdjęcia żadnych pieniędzy nie żądałem, ani nie otrzymywałem. Potem wyjął wszystkie podania, które pisaliśmy do władz w celu rejestracji. „Dlaczego – powiada – to wszystko jest napisane jedną ręką? A czy to są autentyczne podpisy” Odpowiadam, że oczywiście, przecież nikt ludzi nie oszukiwał, nie przymuszał. Chcieli należeć do rady i podpisali. Zapytałem też, dlaczego te podania dostały się aż do prokuratora, skoro sprawdzał je któryś z urzędników rady wykonawczej. Odpowiedział, że oddano mu je. Następnie rozpytywał, jak wygląda nasza kaplica, mówił, że chciałby przyjść zobaczyć. Odpowiedziałem: „Proszę bardzo”. Na tym przesłuchanie zakończyło się, było to takie szarpanie nerwów, chodziło mu o to, by mnie zastraszyć.

Obłożono mnie dużymi podatkami. Za pierwsze pół roku zapłaciłem 12 tysięcy rubli, za drugi rok – 36 tysięcy, a za trzeci 89 tysięcy. Napisałem deklarację o dochodzie, w którym nic nie można było zakwestionować, a mimo to podstawę wymiaru podatkowego stanowiła kwota trzykrotnie wyższa od zadeklarowanej. Oświadczyłem, że nie przyjmę takiego wymiaru podatkowego, wobec czego przysłano do mnie poborcę i chcąc nie chcąc musiałem zapłacić. Pracownicy wydziału finansowego twierdzili, że w kościele zbiera się kwestę trzykrotnie, na różne cele. Odpowiedziałem, że jeśli ktoś chciał coś przynieść, to dał podczas jednej kwesty i na pewno więcej nie będzie dawał. Przyszli do kościoła na kontrolę. Patrzyli, co robię, co biorę. Kiedy przynoszono kwestę, natychmiast przystąpili do jej liczenia. Twierdzili, że biorę pieniądze za posługę – za chrzty i śluby. Mówiłem, że biorę „co łaska” i to nie przed posługą, ale potem, tak że nawet nie wiem, ile otrzymam, bo nie patrzę, ile kto daje. Zapisali te wszystkie dochody i przyjęli, że tak bywa każdej niedzieli. Tłumaczyłem, że bywają okresy niepogody, kiedy dochody są znaczne niższe, ale moich zastrzeżeń nie uwzględniono.

Kontrole w kościele wywoływały niesłychane wrażenie. Podczas gdy słuchałem spowiedzi, kontroler siedział o kilka metrów ode mnie i patrzył, czy nie biorę pieniędzy, a wierni w tym czasie odmawiali różaniec. Finansiści ci nie zwrócili jakoś uwagi na to, że dzieci trzymały w rękach książeczki do nabożeństwa, czego im nie było wolno. Zresztą później i to było przedmiotem wyjaśnień. Zarzucano mi, że rozpowszechniam książeczki do nabożeństwa, pisano o tym w prasie. Najwięcej jednak kłopotu było z tymi podatkami. Banknoty miały wówczas bardzo małą wartość. Chcąc zanieść na przykład 15 tysięcy, trzeba było brać walizkę. Najgorsze było liczenie. Jestem dość roztargniony i kiedyś nie policzyłem pieniędzy dokładnie i przy ich zdawaniu urzędnik rzucił mi je z powrotem i kazał jeszcze raz liczyć.

Po przesłuchaniu prokuratorskim zaczęto interesować się fotografiami, medalikami i obrazkami. Znowu wyjaśniałem, że fotografie zrobił mi przyjaciel na Ukrainie, a obrazki, medaliki, krzyżyki i różańce kupowali ludzie we Lwowie i odstępowali mi. Podałem, jaką otrzymałem ilość, i że brałem po kopiejkę czy po kilka kopiejek więcej. Urzędnik podatkowy odetchnął z ulgą. Widocznie ktoś doniósł do obłasti, że produkuję dewocjonaalia a nie obłożyli tego

podatkiem. Dopisałem więc do deklaracji podatkowej, że znajomi z Ukrainy przywozili mi te przedmioty, ze sprzedaży których miałem taki a taki zysk. Po tym wszystko się uspokoiło, a korzyść miałem taką, że mogłem już oficjalnie handlować tymi rzeczami. Radzono mi, abym handel dewocjami przekazał komuś innemu. Mówiłem, że nie, gdyż kogo innego mogliby oskarżyć o spekulację, a ja, skoro płacę podatek, mogę się tym zajmować.

Ponieważ nie wszyscy mogli dotrzeć do kościoła i przywozić dzieci do chrztu – jeździłem po wsiach i w mieszkaniach odprawiałem Mszę św., spowiadałem, komunikowałem, chrzciliem i udzielałem ślubów. Odbywało się to w okropnym zaduchu i ciasnocie. Ale pamiętam też taką wieś odległą od Taińczy o 50 km – chyba Białojarka – gdzie postawiono wysoki namiot i w nim wybudowano kaplicę, ozdobioną sosenkami. Niektóre osiedla były niemieckie, ale nawet w polskich mieszkali Niemcy, jedni protestanci a inni katolicy. Tak więc udzielałem ślubów po polsku, po niemiecku, po rosyjsku, a nawet na migi – dla głuchoniemych. Praca była piękna. Później chodziliśmy na cmentarz, gdzie „pieczętowaliśmy” groby i odprawialiśmy procesje, zwykle z pięcioma stacjami na Dzień Zaduszny, niezależnie od pogody. Zazwyczaj było to już po pracy, po żniwach. Dni były już dosyć chłodne, nieraz mroźne. Bywało i tak, że ludzie trzymali w rękach grudki ziemi, a ja siedziałem w kabine ciężarówki i święciłem, kropiłem, odmawiałem modlitwy pogrzebowe, a oni następnie kładli ziemię na gronach swoich bliskich. Trzeba jednak było, by ktoś znalazł samochód i przyjechał po mnie. Z czasem i o tym doniesiono do rejonu i prezesa kolchozów, bojąc się konsekwencji, odmawiali wypożyczenia koni czy samochodu; kierowcy zaś narażali się na przykrości. Liczyłem więc na prywatnych właścicieli samochodów. Niektórzy bardzo dobrze tam zarabiali. Na przykład kombajnisci w dwa sezony mogli zarobić na auto. Płacono im zbożem, i jeśli je zdawali, nie musieli czekać w kolejce na przydział auta. Zwykle jeden brał od drugiego kwit na zboże i kupował auto w jednym roku, a tamten w następnym. Taki Polak, który miał samochód, najczęściej był proszony na kuma, dlatego że mógł przy okazji zawieźć wszystkich do kościoła. Właśnie ci ludzie pomagali często pojechać do chorych czy obsłużyć wieś.

Do chorych najczęściej jeździł ze mną ślusarz samochodowy z autobazy – Niemiec, protestant, który posiadał własny samochód osobowy. Ponieważ mógł wyjeżdżać dopiero po pracy, o godzinie 17 czy 18 – jechaliśmy na noc. Czasem trzeba było pokonać 80 km. W ciągu wieczoru, a nieraz nocy, spełniałem swoje obowiązki duszpasterskie, a o świcie wracaliśmy do Taińczy. Drogi, którymi jechaliśmy, były wyboiste, usypane za pomocą pługów z ziemi gruntowej. Im więcej się od ludzi wymagało, tym więcej garnęli się do kościoła. Starali się, by do chrztu byli kumowie odpowiedni, żeby do spowiedzi rzetelnie przystąpić, znali pacierz i katechizm. Wymagałem, by dzieci w wieku 4–5 lat znały „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”. Jeśli tego nie umiały, nie chrzciliem. A jeśli dziecko miało 7–8 lat i nie było przygotowane do spowiedzi, kazałem najprzód nauczyć, bo przecież chrzczymy po to, aby z dziecka wyrósł chrześcijanin. Czasem zdarzało się, że dorośli, będący kumami, musieli najpierw sami poddać się obrządkowi chrztu. Zdarzało się też dość często, że przyjeżdżały pary, które nie miały ślubu i których dzieci nie były ochrzczone. Wówczas odbywały się przygotowania: katechetka udzielała im wyjaśnień po ukraińsku, jednak nazwy Sakramentów podawano po polsku, tak jak wszędzie. Zajęcia trwały parę godzin, potem spowiadałem te pary, następnie udzielałem Komunii św.;

odprawialiśmy modlitwy po Komunii i dopiero wtedy udzielałem ślubu. Jedni drugim służyli za świadków, a potem chrzciliśmy ich dzieci, przy czym jedni drugich brali za kumów.

Kiedy nadeszła jesień, rodzina Szymona Czarnego nie mogła już dalej gnieździć się w przyczepie i żyć jak koczownicy. Trzeba było urządzić im mieszkanie. Uchwaliliśmy, że kupimy im dom za ten, który przerobiono na kaplicę. Kupiliśmy dość ładny dom, o wiele droższy od tego, który przedtem posiadali, na nazwisko syna – Cypriana Czarnego. Był on dobrym stolarzem i nawet chcieli go mianować brygadzystą, ale musiałby się zapisać do związku zawodowego. Książeczki związkowe w Związku Radzieckim mają na każdej stronie napis: profsojuz – szkoła komunizmu. Ponieważ nie chciał on wziąć tego dokumentu, więc pracował jako prosty robotnik. Ich nowy dom był o wiele bliżej stacji kolejowej, co było dla nich korzystne, bo żona Cypriana wynosiła mleko czy inne produkty do pociągu, i mieli z tego pewne dochody.

W ten sposób kaplica była zabezpieczona jako dom Szymona Czarnego, gdyż Komitet wciąż jeszcze nie był zarejestrowany i nie można było dokonać aktu kupna. Dla siebie zakupiłem domek dwuizbowy po drugiej stronie drogi. Tu przyjechały do mnie z Buczek siostry Bronia i Maria wraz z matką. Z wielkim trudem udało im wyrwać się z kołchozu. Broni napisano w paszporcie, że jest Ukrainką, ale ponieważ zależało jej na wyjeździe, pogodziła się z tym.

Wobec tego, że mieliśmy swój domek, mogliśmy zapraszać gości. Przyjechał do nas ks. Bukowiński, by za poświęcenie jego kaplicy zrewanżować się poświęceniem mojej. Odbyła się więc wielka uroczystość, a ja miałem miłe towarzystwo kolegi i przyjaciela. Później odbywały się w Taińczy również inne uroczystości. W 1957 r. na moje imieniny przyjechali koledzy Bukowiński i Rzepecki – najbliżsi sąsiedzi: jeden z odległości 400 km, a drugi z 600 km. Zjawił się również ks. Michał Keller, który gdzieś w północnym Kazachstanie pracował początkowo jako więzień, a później jako wolny w charakterze budowniczego nadzorującego budowę. Kiedy dowiedział się, że tutaj są księża, przyjechał i po dwunastu latach odprawił po raz pierwszy Mszę św. Potem odprawiał już stale, a wkrótce przeszedł na emeryturę. Dostał papiery pochwalne i medal za swoją pracę i osiedlił się najpierw w Nowosybirsku, gdzie pracował wśród Niemców, potem w Kirgizji, wreszcie w Uzbekistanie, gdzie miał swój domek, wraz z siostrami. Pracował on prywatnie czy też pokątnie w grupach, a w końcu Niemcy wystarali się we Frunze, stolicy Kirgizji, oraz w czterech innych miejscach o domy modlitwy, które ks. Michał Keller obsługiwał oficjalnie.

Odbywały się u nas uroczyste nabożeństwa z „Te deum laudamus”, w których brało udział czterech księży. Wywoływało to ogromne wrażenie wśród ludzi. Nieraz nawet trochę się przechwalałem, mówiąc: „Gdyby nie ja, cóż byście widzieli...”. Odprawialiśmy również uroczystości Bożego Ciała. Kaplica stała na skraju osiedla, a z drugiej strony był już step. Ponieważ była za szczupła, by urządzić w niej ołtarze, ustawiliśmy w moim ogrodzie trzy ołtarzyki i wychodziliśmy do ogrodu i tutaj następowało zakończenie z kazaniem i błogosławieństwem Najświętszego Sakramentu – na wolnej przestrzeni tuż obok bezkresnego, płaskiego stepu, obok pola kartofl i kwitnących w moim ogrodzie oraz słoneczników, ozdabiających nasz świat. W ogrodzie odbywały się również chrzty: podawano do chrztu nieraz kilkadziesiąt dzieci. Metryk

żadnych nie prowadziliśmy. Kiedy zachodziła potrzeba, podawało się dane o chrzcie osobom, które wyjechały do Polski.

Cmentarz był wspólny dla wszystkich, oprócz mahometan, którzy mieli swój osobno. Jeśli zdarzyło się, że mahometanin był jakimś naczelnikiem, komunistą i pochowano go z czerwonymi flagami i orkiestrą oraz postawiono mu „szafkę”, na której była czerwona gwiazda, to Kazachowie przychodzili w nocy, odkopywali grób i przenosili zwłoki na swój cmentarz. Meczet mieli tylko w Kokczetawie: był to drewniany budynek, taki, jakie u nas bywają, na przykład w Łucku. Znajdował się w centrum miasta, lecz później kazano go opuścić; pozostał jako zabytek, a Kazachowie zbudowali sobie drugi za miastem.

Na cmentarzu zatem odprawialiśmy bardzo piękną uroczystość – „przewody”. Wychodziliśmy na cmentarz i śpiewając przechodziliśmy od jednego do drugiego grobu, modląc się przy każdym, co trwało nieraz i cztery godziny. Na cmentarzu pochowani byli również Niemcy. Nabożeństwa odprawiane były po łacinie, za dusze wszystkich zmarłych.

Nabożeństwa w kościele w zasadzie odprawiano po łacinie, ja jednak odprawiałem je częściowo po polsku, mianowicie: „O przenajświętsza Hostio”, „Przed tak wielkim Sakramentem”, „Dałeś im chleb z nieba” oraz oracje i modlitwy przed Komunią i po Komunii św.

Można było mieć tylko jedno wspólne nabożeństwo dla Polaków i Niemców, których przychodziło kilkudziesięciu, w tym cała młodzież i dzieci. Niemcy – katolicy trzymają się dobrze, zachowują swój język i wiarę. W kaplicy było jednak za ciasno i nie wszyscy się mieścili. Chodziło mi też o to, żeby Niemcy mogli śpiewać swoje pieśni i żeby powiedzieć do nich kilka słów po niemiecku. Odprawiałem więc sumę dla Polaków, a o godzinie 18 Mszę św. dla Niemców. Niemcy sprzątały kaplicę po sumie, a po nich z kolei sprzątały nasze parafianki. Przez pewien czas była wynajęta do sprzątania kobieta, ale porzuciła tę pracę. Mieliśmy też przy kościele stróża, niejakiego Jasińskiego, który nocował w kościele i pilnował. Służył też do Mszy św.

Z Taińczy wyjeżdżałem również do Niemców, którzy zamieszkiwali w odległych o 15–20 km osiedlach. Nie byli to przesiedleńcy, ale tacy, którzy tam przyjechali dobrowolnie jeszcze w 1904 roku. Ciekawe, że wielu z nich miało polskie nazwiska. Niemcy wszędzie dobrze gospodarują i wszędzie mają się dobrze – tam również. Mieli oni w każdej wsi kościoły, które zamieniono na magazyny. Tak jak zawsze, ktoś musiał starać się o to, by mnie przywieźć oraz zawiadomić ludzi, by się zebrali w odpowiednim czasie. Robiło się wszystko jak należy, dopiero w późniejszych latach zakazano chrztów w mieszkaniach.

Trudno było ustalić, które osiedla wchodziły do mojej parafii. Ks. Rzepecki pracował w odległej o 80 km wsi Zielony Gaj; ja sam bywałem czasami w Kellerówce, gdzie zamieszkiwało kilku katolików. W Kopiejsku koło Swierdłowska było natomiast więcej Ukraińców: byli tam też księża ukraińscy. Przyjeżdżał do nas czasem ks. Rewt, z którym przebywałem później w obozie w Mordowii. Kiedyś uniknął on aresztowania w ten sposób, że gdy dowiedział się, że milicja idzie, wyszedł i minął ich bez zatrzymania, bowiem nie znali go. W samym mieście Akmolińsku był ks. Prokopiew – grekokatolik. Pochodził on z diecezji przemyskiej, z tej części, która pozostawała po tamtej stronie granicy. Zesłano go do Taińczy. Wiedziałem o nim od jego kolegi,

którego spotkałem w Workucie. Prokopiew został skazany na 25 lat pozbawienia wolności. Pracował gdzieś aż w irkuckiej obłasti, w pobliżu Tracka. Osadzono go w końcu lat czterdziestych, a w 1955 roku został zwolniony i pojechał do Kazachstanu. W Akmolińsku pracował wśród Niemców, Ukraińców i Polaków. Oburzałem się na to, że odprawiał nabożeństwa tylko po słowiańsku i chciał, żeby wszyscy śpiewali „Hospody pomiłuj”. Pisał, że Niemcy jako tako śpiewają, natomiast Polacy śpiewać nie chcą, co było dla mnie zrozumiałe. Pracował zbyt gorliwie.

U mnie byli Polacy i Niemcy, a grekokatolików tylko kilku. Gdy przychodzili do spowiedzi, dawałem im książeczkę napisaną w języku ukraińskim i kazałem przeczytać.

Później ks. Prokopiew jeździł też do innych miejscowości, zwłaszcza tam, gdzie osiedlono Niemców. Był on jakiś niezaradny i zawsze chodził zaniedbany. Gdy przejeżdżał przez Tańczę, staraliśmy się go trochę odżywić i oprać, by trochę odpoczął. Nie pozostawał jednak długo, twierdząc, że za dobre jedzenie. I jemu czyniono wiele przeszkód w pracy, jakoś jednak trzymał się. Dopiero później, kiedy nas aresztowano wyjechał do Wilna. Tam też był więziony, ale zwolniono go, zdaje się, po roku. W obozie wezwano mnie na przesłuchanie, podczas którego zapytano mnie, dlaczego Prokopiew uciekł z Kazachstanu. Zacząłem wówczas śmiać się bardzo głośno, na co przesłuchujący oburzył się: „Co w tym śmiesznego? Zwariowaliście czy co?” Odpowiedziałem: „Dobrze, że to nie ja wyjechałem, bo byliby kogoś pytali, dlaczego Kuczyński uciekł z Kazachstanu”. Zaprotestowałem przeciw takim pytaniom, mówiąc tylko, że Prokopiew wyjechał z Kazachstanu dlatego, że gdy uwięziono już 5 księży z Kazachstanu, uznał widocznie, że niema na co czekać. Po zwolnieniu z więzienia w Wilnie Prokopiew był początkowo stróżem na cmentarzu, jednak zwolniono go stamtąd i skierowano do ciężkiej pracy w sowchozie. W późniejszych latach uzyskał zaświadczenie o inwalidztwie i zamieszkał w jakimś mieszkaniu całkowicie obstawionym regałami z książkami. Miał tam też swój ołtarzyk, przy którym odprawiał Mszę św., zawsze po łacinie. W niedzielę wyjeżdżał na Białoruś do polskich księży, którym pomagał w spowiedzi i odprawianiu nabożeństw. Ukrócił trochę swój ascetyzm i sypiał wprawdzie dalej na deskach, ale już nieco dłużej niż dawniej, jadł też lepiej, zwłaszcza gdy miał w domu gości. Obsługiwany przez jakąś staruszkę, chyba z Felsztyna, ciągle coś czytał i pisał: posiadał duże wiadomości o stanie Kościoła w Związku Radzieckim. Chciałbym wspomnieć też o ks. Piotrze Radwańskim. Przebywał on w Miłopolu koło Połonnego. Gdy jego kościół został zamknięty, zapytał mnie czy nie przydałby się w Kazachstanie. Odpisałem, by przyjechał do nas. Bukowiński i Rzepecki byli tym trochę zaniepokojeni, mówili, że to człowiek starszy i przy tym chory. Miał on dziwaczny pseudonim – Pieresyppkin. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, jakie było jego prawdziwe nazwisko. Prawdopodobnie uczył się przed wojną w Lublinie w seminarium dla misjonarzy wschodniego obrządku i widocznie przybrał sobie taki pseudonim. Od niego dowiedziałem się tylko tyle, że matka jego z domu nazywała się Ziółkowska. Kiedy przyjechał do mnie i jedliśmy obiad w kuchni, gdzieś obok siedziały kobiety i rozmawiały ze sobą, zapytując się: „Ciekawe, jakie jest jego nazwisko?” Na to odpowiedział: „KGB nie dowiedziało się a one chcą wiedzieć!”



Chory był podobno, dlatego, że bili go poprzednio i nastąpiło pęknięcie przepony, tak, że żołądek wchodził do klatki piersiowej. Mógł jeść tylko siekane mięso lub coś podobnego. Przybył on do nas naprawdę w porę. Moja matka była wówczas już bardzo chora, a jest taki zwyczaj, że ksiądz własnej matki nie spowiada – więc wyspowiadał moją matkę. Nie mogła ona ani leżeć, ani siedzieć, serce jej stawało i w końcu po krótkich, ale ciężkich cierpieniach umarła. Tak się złożyło, że w tym czasie trzeba było jechać do chorych, więc pojechał ks. Piotr, a ja sam pochowałem mamusię. Zrobiliśmy piękną trumnę obitą czarnym aksamitem, nabożeństwa odprawiono po polsku, a Niemcy śpiewali po niemiecku. Przysłali mi aż dwie ciężarówki: na jednej ustawiono trumnę, a na drugiej usiadło dużo dzieci z sąsiedztwa: matka moja była bardzo uczynna, gościnna i często coś podsuwała dzieciom, tak że chętnie do nas przychodziły. Przebyliśmy trzykilometrową trasę przez step i ustalili się porządek pogrzebu. Był to jeden z pierwszych pogrzebów zorganizowanych z całą procesją, tak że później wspominali go wszyscy mieszkańcy. Na cmentarzu przemawiałem po polsku, po niemiecku i po rosyjsku.

Ks. Pieresypkin przeniósł się potem do Pietropawłowska, gdzie wynajął mieszkanie. Po moim aresztowaniu ludzie właśnie do niego jeździli do spowiedzi. Po raz ostatni widziałem go, kiedy odsyłali mnie z Pietropawłowska na step. Stał wraz z innymi z daleka i patrzył. Później udał się do Lwowa, gdzie chciał poddać się operacji. Podjęto się jej jednak dopiero w szpitalu w Moskwie. W przeddzień operacji przysłał mi pocztówkę – reprodukcję Delacroix – przedstawiającą Arabów polujących na lwy. Ks. Piotr nie wytrzymał operacji, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Został pochowany w Moskwie. Tam dopiero okazało się, że nazywał się Piotr Radwański.

Moje późniejsze sprawy wyglądały kiepsko. Otóż w kokczetawskiej „Prawdzie” zamieszczono artykuł na trzecią część strony pod tytułem: „Czy można mu wierzyć”, w którym bardzo barwnie opisywano, jak uciekłem przez granicę do Polski, co tam robiłem, że później Związek Radziecki do mnie przyszedł, a ja na to spotkanie nie przyniosłem żalu, tylko kamień za pazuchą. Dalej opisywano jak i za co zostałem pierwszy raz uwięziony, potem omawiano moją działalność w Kazachstanie. Zostałem nazwany spekulantem i darmozjadem, oskarżony, że posadziłem ludziom na głowę matkę i dwie siostry, że wzbogaciłem się i kupiłem dwa domy, a to dzięki temu, że spekulowałem dewocjonaliami – że na przykład za książeczkę wartą półtora rubla brałem 60 rubli.

W rzeczy samej dostawaliśmy dewocjonalia ze Lwowa, z Wilna, a nawet z Polski, przywoziła je też pani S. i wierni chętnie je kupowali, dając każdą cenę. Poza tym napisano, że handluję widokówkami piekła, raju i świętych, do których widocznie zaliczam siebie samego, skoro za swój portret biorę 10 rubli; że w ogóle załatwiam tutaj brudne sprawy watykańskie jako agent, a co to jest Watykan, wiadomo, skoro niedawno odbył się w Stanach Zjednoczonych zjazd policjantów, na którym mianowano papieża Piusa XII honorowym policjantem; i wiele innych, podobnych rzeczy.

Kiedy ukazał się ten artykuł, przybiegli do mnie przede wszystkim Niemcy; pytali, co oznaczają te wszystkie epitety, te straszne, niezrozumiałe słowa, jak tuniejadziec, co to znaczy „feudalny”, „agent” – po prostu ogarnęło

ich przerażenie tak wielkie, że trudno było wytrzymać. Zauważyłem jednak, że gdy ja sam jakoś zbierałem siły i odwagę i zaczynałem zachowywać się spokojnie, to i oni nabierali ducha. Po zakazie praktykowania, który został wkrótce wydany, zaczęliśmy znowu jeździć do władz. Dzięki temu na pewien okres czasu znów udzielono zezwolenia na odprawianie nabożeństw. Zresztą, uzyskanie takiego zezwolenia zależało od postawy parafian. Jeśli domagali się czegoś stanowczo, to uzyskiwali, jeśli dali się zastraszyć, to wszystko było na nic. Wyjechałem później w podróż duszpasterską do dwóch odległych osiedli niemieckich. Po powrocie dowiedziałem się, że zostałem podany do sądu. Wobec tego niezwłocznie udałem się do sądu, by wyjaśnić, o co chodzi. Oświadczone mi, że nie zapłaciłem 16 tysięcy podatku i że jeśli kwotę tę uiszczę, to sprawa zostanie skasowana. Poczyłem starania o zebranie pieniędzy, które następnie wpłaciłem.

Umyślnie chodziłem po mieście, aby widziano, że nie uciekłem. Ten artykuł prasowy jak i całe śledztwo w mojej sprawie miały na celu usunięcie mnie z miasta. Dano mi do zrozumienia, że jeśli wyjadę, nie będę miał żadnych kłopotów. Na temat moich objazdów po wsiach zamieszczono następny artykuł w gazecie rejonowej. Tym razem pisano, że napadam na wioski. Wzięto się to z następującego zdarzenia.

W jednej wsi wybudowano nowy dom i trzeba było go poświęcić. Córka gospodarzy była nauczycielką. Napisali więc, że skradałem się po zaułkach (gdzie tam, we wsi stepowej zaułki?) i wszedłem do tego domu, ale kiedy chciałem dostać się do pokoju nauczycielki, dostałem odprawę. Widocznie nie chcieli kompromitować tej nauczycielki. Szybko więc – pisali – ochrzciłem dzieci, udzieliłem ślubów i czym prędzej uciekłem\*.

---

\* Podstawa relacji: Józef Kuczyński, *Między parafią a łagrem*, Paryż 1985.